# SCHRONOLOGIA

## OKOLICZNIK EZOTERYCZNY

Aperiodyczny biuletyn
Trzynastego Schronu

# Szczęśliwego Piątku Trzynastego!

Szczęśliwy ten piątek, bo udało się nam, pomimo wszelkich przeszkód, opublikować drugi numer Schronologii, a będzie ich trzy, bo tyleż piątków trzynastego wypada w tym roku.

Tym razem przygotowaliśmy dość różnorodną mieszankę tekstów, którą dedykujemy miłośnikom historii, militariów, astronomii, wypatrującym ufo, wzdychającym za czasami PRL oraz poszukiwaczom postapokalipsy w najróżniejszych dziedzinach kultury.

Dzięki Schronologii dowiecie się też, jak witają się papieże ;).

## Koordynator:

Jerzy 'Jerzy' Kubok

## Teksty:

Małgorzata 'Cichutki Spec' Ślązak

Iwona 'Lithium' Przeklasa

Jerzy 'Jerzy' Kubok

Marek 'Squonk' Rauchfleisch

Łukasz 'Uqahs' Mazur

## Składanie:

Jan 'Nightmaster' Przeklasa

Łukasz 'Uqahs' Mazur

## Grafika na okładkę:

eNdi

Przypominamy, że każdy może nadesłać swój tekst do Zina. Oto mały regulamin dotyczący tej zaszczytnej akcji.

1. Akcja trwa od 13.01 do 13.07 bieżącego roku.
2. Kolejny zin pojawi się 13.07.2012r.
3. Tekst do zina może przesłać każdy użytkownik forum Trzynastego Schronu.
4. Wszystkie teksty muszą być napisane samodzielnie.
5. Aby wziąć udział w wydaniu zina, należy:

- Zapoznać się z listą wydarzeń z 13. dnia danego miesiąca, zamieszczoną na Wikipedii.
- Teksty należy przesyłać koordynatorowi projektu NAJPÓŹNIEJ dwa tygodnie przed publikacją materiału w danym miesiącu. Da to ekipie Schronowej czas na redakcję i korektę tekstu.
- Forma artykułu jest dowolna: esej, felieton, styl poważny lub żartobliwy. Nie limitujemy objętości prac, która jednak nie powinna przekraczać rozmiarów typowego artykułu prasowego/ internetowego (nie reportażu).

*Schronologia okolicznik ezoteryczny jest własnością czasopisma internetowego Trzynasty Schron (ISSN 1899-6396), a zawarte w nim teksty zostały umieszczone za zgodą ich autorów i są ich własnością intelektualną. Kopiowanie, rozpowszechnianie całości lub fragmentów tej publikacji bez zgody redakcji jest zabronione.*

13 *kwietnia* 2029 — *Apophis* (*str.* 4)

13 *kwietnia* 1982 — *Wojna o Falklandy* (*str.* 12)

13 *kwietnia* 1927 — *Tunguska* (*str.* 3)

*Papież w synagodze* — *str.* 6

*Triskaidekafilia* — *str.* 6

*Fikcja sumieniem nauki* — *str.* 7

*Bitwa o handel* — *str.* 11

# Tunguska

1927 – Pierwsi badacze dotarli do miejsca katastrofy tunguskiej

Zderzenie z meteorytem, katastrofa statku kosmicznego, eksperymenty przeprowadzane przez Nikolę Teslę czy użycie pozaziemskiej broni? Co było przyczyną potężnej eksplozji, do której doszło w pobliżu rzeki Podkamienna Tunguzka 30 czerwca 1908 r., która pozostawiła ślady na ogromnej powierzchni środkowej Syberii? Od 13 kwietnia 1927 roku, kiedy to w jej rejony dotarła pierwsza ekspedycja naukowa, trwają badania nad przyczyną katastrofy tunguskiej i do teraz nie ma jednoznacznego wyjaśnienia, a te które są podawane przez specjalistów nieraz bardziej wyglądają na pomysły do powieści S-F niż na twierdzenia naukowe.

Różnorodni badacze są przekonani, że do wybuchu doszło z przyczyn ingerencji sił pozaziemskich. Wśród nich polski ufolog – Jan Pająk, obarczający winą za katastrofę statek kosmiczny z napędem magnetycznym. Jego zdaniem jakaś eksplozja stała się przyczyną uwolnienia ogromnej energii kumulowanej w polu magnetycznym statku i to wywołało zniszczenia. Z kolei rosyjscy badacze wysunęli teorię, że kosmici uratowali Ziemię przed zagładą, poświęcając swój statek – zderzając się z czymś co zagrażało naszej planecie, bądź też użyli jakiejś pozaziemskiej broni do zestrzelenia tego obiektu.

Teorie bardziej przyziemne zakładają, że w tamtym rejonie mogło dojść do uwolnienia i eksplozji bagiennego gazu. Z innej strony podawano także hipotezy angażujące działalność ludzką, w tym m. in. znanego Wam Nikolę Teslę, który rzekomo miał tam przeprowadzać jakiś tajny eksperyment, który wymknął mu się spod kontroli.

Co wiemy na pewno – głównie to, co jest wynikiem badań przeprowadzanych na materiałach zdobytych przez wspomnianą już pierwszą ekspedycję z 13.04.1927 r. pod przewodnictwem Leonida Kulika. Kulik zrobił przede wszystkim bogatą ilość zdjęć dokumentujących wygląd tajgi po katastrofie – zdeformowane, spalone i powalone drzewa, oraz ukazujących obecność wielu szklanych kulek o średnicy 1 mm. Nie wiadomo dlaczego zniszczone drzewa tworzą wzór o kształcie motyla. Co do siły eksplozji – obecnie szacuje się, że ilość uwolnionej energii odpowiada 10-20 megatonom; wstrząs przez nią wywołany został odnotowany na całej ziemi. Bardzo możliwe, że znajdujące się w pobliżu jezioro Czeko jest efektem zderzenia z ciałem niebieskim i tym samym dowodem na teorię włoskich badaczy, którzy uważają, że katastrofa została wywołana uderzeniem w ziemię fragmentu komety lub meteorytu. Inni jednak obalają to twierdzenie i przedstawiają swoje. Jak było naprawdę? Tego nadal nie wie nikt.

*Źródła:*


1. http://www.jaczewski.pl/blog/katastrofa-tunguska-sto-lat-pozniej/
2. http://pl.wikipedia.org/wiki/Katastrofa_tunguska
3. http://www.pcworld.pl/news/134591/Katastrofa.tunguska.rozwiazanie.zagadki.po.99.latach.html
4. http://niewiarygodne.pl/kat,1017181,title,Najbardziej-tajemnicza-katastrofa-w-dziejach-ludzkosci-wyjasniona,wid,12796495,wiadomosc.html


***Iwona 'Lithium' Przeklasa***

# Apophis – metoda na dłuższy wiek emerytalny

Cholera, ci okropni naukowcy zmniejszyli nam szanse na apokalipsę! Jak mamy teraz żyć, panie premierze? Zmagania z hordami mutantów czy technologicznie zaawansowanymi oddziałami wojska, próbującymi przejąć władzę na pustkowiach, wydają się dużo ciekawszym zajęciem niż praca do siedemdziesiątki. I jak tu nie wpaść w furię? Co prawda, ta autorstwa studia id Software zawiera całkiem udaną, artystyczną wizję świata po uderzeniu asteroidy, ale Rage to tylko produkt przemysłu elektronicznej rozrywki.

Wróćmy jednak do rzeczywistości, bo w 2029 roku będziemy mogli dojrzeć sprawcę całego zamieszania. To wtedy asteroida Apophis przeleci w niewiarygodnie małej (w kosmicznej skali) odległości od naszej planety - 38000 kilometrów. Nasi mędrcy dokonają wtedy dokładnych obserwacji i obliczeń, aby określić prawdopodobieństwo uderzenia tego ciała niebieskiego w nasz glob przy kolejnym bliskim spotkaniu, na które umówieni jesteśmy także trzynastego kwietnia, ale roku 2036.

Istnieje ryzyko, że stosunkowo mały Aphopis - ma 270 metrów średnicy - wyrządzi sporo szkód, bo energię wyzwoloną w momencie ewentualnego uderzenia oszacowano na 510 megaton trotylu. To dziesięciokrotnie więcej niż wybuch Car-Bomby (największej eksplozji dokonanej przez człowieka) - która potrafiła odparowywać wyspy - i tylko nieco mniej niż ilość wpierdolu serwowanego nam niekiedy przez Naczelnego.

W 2004 roku Apophis musiał spędzać sen z powiek niejednemu astronomowi, bo naukowcy określali możliwość katastrofy nawet na 1 do 37, a to i tak więcej niż szansa na dożycie emerytury. Po dokładniejszych wyliczeniach odetchnęli z ulgą, bowiem prawdopodobieństwo uderzenia w Ziemię oszacowano na bliskie zeru, ale nadal nie zerowe. Co oznacza, że jest jeszcze nadzieja na wesołą eksterminację mutantów, o ile NASA nie zadzwoni wcześniej po Bruce'a Willisa.

***Łukasz 'Uqahs' Mazur***

# Papież w synagodze

I znowu na neofitę padło. Nie przypadkiem starsi stażem i stopniem się nie garną. Jej Wysokość z równą gracją prowadzi korowód bachantek, jak i obłupia naśladowców nieszczęsnego Marsjasza. Intencja jednak wydaje się jasna – ma być ekumenicznie – stąd i przyrost odwagi.

Z tym u nas dobrze. Teoria i praktyka to potwierdza. Oficjalnie ogłoszono tęczową politykę miłości, współpraca międzyserwisowa nabiera kolorów, więc nie do końca rozumiem o co się Emanacji rozchodzi. Coś jednak – z definicji – musi być na rzeczy, Jej Wysokość się nie myli. Może to nadmierna ulotność schronowych źródeł, zaskakująca nawet w dobie Internetu, nie pozwalająca na rozstrzygnięcie kwestii; kim – w tej analogii – mogliby być Starsi Bracia na postapokaliptycznym szlaku? Może forumowe swary doszły do Jej uszu? Może wreszcie być i tak, że coś całkiem innego zwróciło uwagę, uchodząc oczom niewprawnego obserwatora.

Na szczęście zastrzeżenia nie wyglądają na zasadnicze. Wizyta w synagodze to tylko symboliczny, piękny gest bez praktycznych konsekwencji, więc nie ma co przesadzać z ekumeniczną gorliwością.

***Jerzy 'Jerzy' Kubok***

# Triskaidekafilia

Wróżenie z Wikipedii? Zaklinanie rzeczywistości? Przesada, zwykłe słowne igraszki. Z długiej listy trzynasto-piątkowych wydarzeń można wybrać dowolny pre-tekst i potraktować go po swojemu. Taka notka często mówi więcej o autorze, niż o temacie. To raczej próba wykazania się, sprawdzian lekkości pióra i umiejętności kojarzenia wszystkiego ze wszystkim, a ze Schronem w szczególności. Poza tym to dowód sporej bezczelności, bo intencje swoją drogą, a rezultat bywa różny.

Z drugiej strony, zabobonni (ponoć) przodkowie manipulowali wróżbami na potęgę. Powtarzali do skutku, zadawali głupie pytania, zawierali z bogami transakcje, otwarcie wątpili w ich możliwości, korumpowali kapłanów i – co najważniejsze - interpretowali wróżby zgodnie z własnym interesem. Nawet zła wróżba bywała pożądana, jeśli pomagała wodzowi uratować twarz w obliczu buntu wojska. Platon pisał wprost: to wróżbita powinien znajdować się w mocy wodza, a nie wódz w mocy wróżbity.

W niejednoznaczności i kunszcie uprawdopodabniania wróżb celowała wyrocznia delficka. O tym, że na dwoje babka (Pytia, znaczy) wróżyła, wszyscy wiedzą. Wysiłek kapłanów włożony w zdobywanie wiarygodnych informacji pozostaje niedoceniony.

Chińczycy nie lepsi. W księdze I Cing pełno sugestywnych obrazów i piętrzących się symboli, w stylu: góra nad wodą… strzeż się potężnego człowieka. Niestety konfabuluję, bo tekst mi gdzieś wcięło. Niczym w teście Rorsarcha (to jest dopiero paranaukowe, nieweryfikowalne wróżbiarstwo!) można zobaczyć co komu w duszy gra. Tyle, że w samodzielnej interpretacji szansa na spełnienie jakby większa.

Czy to taka wielka różnica? Może jednak jest coś na rzeczy z tym wikipedycznym wróżbiarstwem?

***Jerzy 'Jerzy' Kubok***

# Quo vadis, doctrinae? Quo vadis, figmentum?

Fikcja jest ewolucyjnie cenna, ponieważ pozwala na przeprowadzanie eksperymentów niskim kosztem w porównaniu do wydatków, które trzeba by ponieść w prawdziwym życiu.

*Dennis Dutton*

## Fikcja sumieniem nauki

**Telepaci i paskudni naukowcy… Gdy rzeczywistość była pierwsza.**

13 kwietnia 1953 r. CIA rozpoczęła badania w ramach tajnego programu MKULTRA. Program, odtajniony pod naciskiem dziennikarzy i komisji śledczych (Prezydenta i Kongresu), zakładał badanie tych możliwości ludzkiego mózgu (i sterowania nim), które powszechnie uznaje się za paranaukę bądź casus przynależny nie nauce, lecz ezoteryce i zabobonowi. Swego rodzaju światopoglądowa schizofrenia, paradoks początku zimnej wojny, zakładała prawdopodobieństwo wielu zjawisk, które dziś uchodzą za mało prawdopodobne bądź niemożliwe, a jednocześnie, przy całej ekscytacji tematyką zagrożeń i niebezpiecznych wpływów (można tu mówić nawet o swoistej psychozie strachu, wywołanego choćby perspektywą wojny atomowej czy właśnie zdobyciem przez którąś ze stron totalnej psychologicznej władzy), ulegał daleko posuniętemu „scjentyzmowi"; wiele z tego, co „naukowe", łykano bezmyślnie, jak słodki cukierek, jednocześnie wizje całkiem spełnione lokując głęboko w trzewiach fikcji (nie spodziewano się choćby realnej rewolucji internetowej, telefonii komórkowej czy istnienia neuronów lustrzanych, jako czegoś, co za parę dekad wkroczy pod strzechy). Badano percepcję podprogową, wpływ narkotyków i środków psychoaktywnych na sterowność podmiotu badanego (a także jego własne możliwości), drogi manipulacji cudzym umysłem. Wcześniejsze projekty, BLUEBIRD i ARTICHOKE, poświęcone były sterowaniu pamięcią i hipnozie. Z grubsza można określić, że naukowcy zajmowali się tym, co od dawna gości w fantastyce naukowej: telepatią, psychotroniczną siostrą dawnej magii, należącej do nurtu baśniowego, ludowego; szeroko pojętym „wpływem" czy też „wglądem". Czynili to w odwiecznym celu: utrzymania kontroli nad rządem dusz.

Ta właśnie kontrola – nad duszą ludzką, nad człowiekiem i naturą – weszła na trwałe do kanonu motywów s-f, zazwyczaj jako jej mroczny pierwiastek, nieuchronnie prowadzący do kłopotów, niekiedy całego gatunku ludzkiego, na krawędź jego destrukcji — fenomen postapokaliptycznych wynurzeń wyrósł jako bękart „świetlanej przyszłości" i nienasyconego apetytu człowieka na władzę, dokarmiany odpadami z produkcji postępu. Zderzenie tych dwóch perspektyw – zachwytu i pesymistycznej trwogi – w połączeniu z teoriami spiskowymi, dało asumpt do prawdziwego rozkwitu wielu nurtom, gatunkom, podgatunkom i motywom (tu choćby fenomen strefy 51 i postaci obcego). Co jednak ważniejsze i znamienne – historia pokazała, jak bardzo fantastyka jest probierzem zarówno aktualnego nastroju, jak i tego, co może przynieść przyszłość. Utrwaliła lęki, zrodziła nowe, niektóre obłaskawiła. Przyniosła też trwałe dziedzictwo motywów, które, odmieniane i refigurowane, nie tracą na aktualności, a powtarzają się w okresowych trendach z niepokojącą regularnością. Zmienia się sztafaż, zmieniają się mody, zostaje esencja tematyki, którą na Schronie zwiemy „klimatyczną".

**Drogi zagłady, ślady lęków, kierunki (anty)rozwoju**

Bunt inteligentnych maszyn, perełek technologii przeciw ich twórcom; szaleństwo geniuszy i crackerów, pragnących władzy nad światem; nowoczesna broń doprowadzająca ludzkość do samozagłady… Mózgi neuronowe, androidy, miasta Molocha, zapętlone rzeczywistości: wirtualna i realna… Beznamiętne twarze mężczyzn i kobiet w białych kitlach, wymierzone czujnym wzrokiem w „dzikiego": człowieka naturalnego, wrażliwego i czującego. Oszustwo „systemu": państwa, korporacji, posępnego, fikcyjnego miasta, tworzącego przed obywatelami fasadę raju, za którym kryje się śmietnik. Mutacje, modyfikacje genetyczne, dokonywane bez umiaru, metodami despotycznymi i nieludzkimi; manipulacje przeszłością i przyszłością (sterowanie podróżami w czasie, alternatywnymi światami snów i wspomnień z jednej, człowiek zdigitalizowany i skopiowany z drugiej strony)… Wreszcie: nieodmienna i ta sama wojna, którą najlepiej wyraża maksyma ze znanej wszystkim gry. Różnorodne motywy stanowią surowiec i odprysk tego samego: przeciążenia cywilizacji jej dobrodziejstwami, które, wypaczone, przynoszą w końcu zgubę jej samej.

Dzieckiem fascynacji „fantastyką naiwną" z lat 50-tych, wyrosłą na zimnowojennym nawozie atomowych grzybów i strachu przed „wszędobylskim okiem wroga" (świetnie widocznym na plakatach propagandowych), jest Fallout — gra, wokół której zazębiły się pierwsze Schronowe zębatki. Jedna z kluczowych dla niej postaci to Mistrz (a. k. a. Richard Grey): ofiara własnego, tragicznego w skutkach geniuszu, wybitny naukowiec i telepata, któremu w rozmowach z głównym bohaterem towarzyszą głosy wchłoniętych umysłów (pożerał bowiem nieudanych kandydatów do armii mutantów, nie znajdując dla nich lepszego zastosowania), potęgując makabryczną groteskowość sylwetki Mistrza. Wielość motywów-samograjów (katastrofa nuklearna, technologiczna zabawa w Boga, wszechobecne skażenie, zakazane eksperymenty na ludziach, supernowoczesna broń, mutacje i wirusy, zły naukowiec) została wymieszana w Falloucie nie tyle w doskonałych proporcjach, co przez doskonałych kucharzy z kuźni Black Isle. To właśnie dlatego, choć niektóre rozwiązania technologiczne muszą budzić uśmiech (wszechobecne ogniwo termojądrowe i prawdziwe arsenały broni w zniszczonych miastach, na wyciągniecie ręki), gra nie zestarzała się, doczekała kolejnych produkcji z serii i zdefiniowała gatunek (przynajmniej w ramach gałęzi postnuklearnej). To, co szczególnie znamienne, to powtarzające się na ustach fanów: „klimat", „nastrój", „charakter" — oddalające w gęsty cień wszelkie niedogodności przestarzałej już dziś grafiki FO 1 i FO 2.

Klimat, nastrój… Klimat rzeczywistego lęku, uchwycony mistrzowsko. Ciężka atmosfera i pytanie, co by było, gdyby… Pytanie, na które odpowiedzieć próbuje właśnie fantastyka (ściślej: fantastyka naukowa), fikcja. Inaczej sformułowane zabrzmiałoby: „A co się stanie, jeśli my, ludzie, przegniemy [godzillową na gruncie Schronowym] pałkę"?

Tu dochodzimy do punktu, w którym można równie dobrze wybałuszyć oczy na modłę znajomego każdemu „Ale o co chodzi?" (równie często w wersji „aae..oosssoo…choozii…", której jednak nie będę tu rozwijać), pytając, po co właściwie owe dywagacje, skoro motywy władzy i panowania – bo to panując i rządząc najłatwiej przeginać, mając do dyspozycji i pionki, i planszę, i asy w rękawie – zmieszane z ich niechlubnymi skutkami i podlane sosem „zawsze się udającej" epiki (czyli miłości, romansu i seksu oraz przemocy i walki) znane

są od pradziejów twórczości i powtarzają nieomal wszędzie (w tym u Szekspira w najlepszym wydaniu; sceny, rzeknijmy szczerze, jak z telenoweli, podane w formie teatru wzorcowego, łączą elementy wysmakowany z pospolitym w kanoniczny model). Można powiedzieć, że owe motywy w fantastyce i jej bardziej refleksyjno-ponurych odłamach, uchodzących na Schronie za „klimaty", mają swoją specyfikę i na tym skończyć. Można? Można.

Nastrój, klimat… Ponura rzeczywistość science-fiction, postapokalipsy, dystopii, antyutopii, cyberpunku… Retrofuturystycznego Fallouta i współczesnej social-fiction. Czy to Huxley, Orwell, Wachowscy, Dick, Langelaan (a później Neumann i Cronenberg), Strugaccy, czy Charles Stross z przerażającym w swojej czystej, „szpitalnie" sterylnej wręcz – z uwagi na niełatwy język, terminologię i sam temat – antyutopii świata ludzi cyfrowych (tryptyk: Homary, Zmrok, Wyborca), czy Nancy Kress w zabawnej, mądrej i refleksyjnej miniaturze „Nano przybywa do Clifford Falls", czy znów telepatia i eksperymenty władz u Dukaja w „Czarnych Oceanach", eksperymenty ze snami, historią i bunkrami Wrocławia u Ziemiańskiego (zbiór „Zapach Szkła") — tam, gdzie postęp naukowy zbliża się do zabawy w Stwórcę-Kreatora i lekceważy etykę, tam dzieje się źle. Podkreślić należy, że jest etyka uniwersalna; zrozumiała niejako a priori przez każdego, katolika, ateistę czy buddystę; im bardziej nośne i znane dzieło zresztą, tym bardziej wypośrodkowana etyka, co nie odbiera jej słuszności. Czy jednak pewien zbiór środków i motywów oddziaływania na widza nie jest po prostu… No właśnie, zbiorem estetyki gatunku? Zwyczajnie? Bez misji wzbudzania dreszczu sumienia i pytania, co by było gdyby?

**Szara Eminencja. W ślad za Królową Nauką**

Fandomowa publicystyka, od lat swych pieluszkowych, toczy dyskurs z głównonurtową krytyką o „lekkość" branży. O to, czy i na ile fantastyka powinna być „poważna", refleksyjna, pobudzająca – jeśli nie do rachunku sumienia za ludzkość, bo nie każdy czytelnik taką aż wrażliwość posiada i nie każdy autor talent – to przynajmniej do zastanowienia. Trudno odmówić słuszności stwierdzeniu, że dobra proza powinna się przede wszystkim przyjemnie czytać, jako wciągająca i poruszająca opowieść, zaś dobry film — omotać nawet najbardziej obcykanego z nowinkami technologicznymi człowieka XXI wieku tak, by uwierzył w magię kina i nie powiedział w połowie: „Eee, takie efekty już widziałem, wiem jak to zrobili".

Pomijając techniczne aspekty udanego dzieła (warsztat, czy to pisarza, czy reżysera, grę aktorów w filmie, kompozycję treści w książce), można się istotnie zastanawiać, jak to z tą fantastyką powinno być i skąd akurat roztrząsanie podobnego problemu. Otóż, fantastyka bardziej niż jakakolwiek inna fikcja (nawiasem mówiąc, fikcja, fiction, jest tu, zwłaszcza u Anglosasów, nawet lepszym określeniem twórczości nie do końca realistycznej, rozszerza bowiem regał o te półki i cudeńka, które można przypisać jednocześnie do głównego nurtu) przyjmuje na siebie rolę wieszcza-prognostyka losów ludzkości. Nawet fantasy, tu wyłączone nieco z dyskursu (choć nie do końca słusznie, bo nie musi być mało ambitną „kolejną książką o smokach", decyduje tu raczej priorytet dyskusji i, nie ukrywajmy, jej objętość na papierze-monitorze) potrafi ukazać alternatywę losów naszych, ludzi realnych i współczesnych tak, by dać nam do myślenia, przy czym znane „co by było, gdyby" jest tu rozpatrywane wstecz. Rozwój technologiczny jedne hipotezy, ujęte przez starych mistrzów gatunku, jak też i przez ich mniej znanych kolegów, obalił, inne zdaje się niebezpiecznie potwierdzać lub daje pole do popisu młodszym twórcom, którzy dane zagadnienie odświeżają. Przy takim rozwoju Internetu, jak dziś, przy „miękkiej i zacisznej", bo nie uświadamianej sobie przez gros internautów, kontroli Google'a, kamer na ulicach i w marketach, a nawet ubikacjach, tylko bez części z kabinami, w urzędzie, przy tym, jak technokratyczna rzeczywistość krzyczy o tytuły i dyplomy, rzekomo potrzebne do prostej pracy biurowej lub nawet fizycznej, a proste umiejętności przodków stają się wręcz surwiwalem dla mieszkańców metropolii –

wizje Orwellowskie, braci Wachowskich czy Dicka – niebezpiecznie zahaczają o krawędź rzeczywistości, lekko ją póki co tylko drapiąc w odsłonięty kark. Odsłonięty, gdyż wzrasta niefrasobliwość osób, odsłaniających całe życiorysy na Facebooku czy Naszej Klasie, maleje natomiast znaczenie zwartej społeczności „rodzinnej", obecnej w społeczeństwie przed industrializacją i „wielkich dogmatów", których wyznacznikami była kiedyś ojczyzna, religia, codzienny trud zdobywania pożywienia czy ziemi. Fantastyka, inaczej niż proza głównonurtowa, skupiona na dylematach mniej lub bardziej uniwersalnych i codziennych, zostawia pole na mniemanie, co by było, gdyby ponure wizje ugryzły. Najnowszym płodem owego mniemania jest niedawny spór o ACTA, a do wskazania hipotez i ich kierunków czasem wystarcza przegląd prasy.

Reifikacja człowieka jest faktem. Pisałam o tym w artykule poświęconym kanibalizmowi. Niektóre wizje Lema okazały się prorocze. Matrix na naszych oczach więzi ofiary hikikomori i uzależnienia od sieci. Kolejne grypy mają nazwy to ptasiej, to świńskiej. Pandemii nie ma, ale pewna liczba osób zmarła, co zawsze będzie tragedią konkretnych osób. Telefon komórkowy, wielofunkcyjny, pozwalający zerwać związek czy ośmieszyć kogoś nagraniem z kamery – stał się dla wielu bez mała Ubikiem, a na pewno narzędziem szantażu. Władzy. Kontroli. Niewoli. Komunikacji tak skutecznej, że po co odwiedzić sąsiada…

Być może fantaści za dużo gderają (dla zwolenników lekkiej opowieści), za bardzo pierniczą (dla zwolenników „ciężkości gatunkowej"), być może maniacy postapo, dystopii czy ponurego s-f są ludźmi masochistycznie i niezdrowo rozmiłowanymi w katastrofach. Z pewnością jednak fantastyka, nie ograniczona „zdrowym rozumem", a właśnie pozwalająca sobie na pozornie zupełnie szalone hipotezy — ma szansę być prawdziwą szarą eminencją nauki i kiedy trzeba, podać swojej pani sole trzeźwiące.

*Bibliografia:*

1. Wojciech Chmielarz, Kreowanie przyszłości, w: Nowa Fantastyka 10/2011 (349)
2. Magda Goetz, Co przewidział Lem cz. I
3. Magda Goetz, Co przewidział Lem cz. II

***Małgorzata 'Cichutki Spec' Ślązak***

# Bitwa o handel

Chyba nie ma w tym kraju młodej osoby, która choć raz nie słyszałaby o fenomenie kolejek za czasów PRL-u, kiedy to godzinami czy nawet dniami stało się na ulicy w ogonku, który nie wiadomo gdzie się zaczynał, za czym stał i czy w ogóle jakikolwiek towar uda się kupić po odstaniu swego. Czy jednak ktokolwiek z Was wie jakie były przyczyny kolejek i pustek w sklepach? Najprościej powiedzieć – polityka państwa. Ale co konkretnie? Jakie ustawy czy działania? O tym przeczytacie w tym tekście (a przynajmniej o jednym z ważniejszych aspektów sprawy).

Wystąpienia Hilarego Minca na plenum KC PPR 13 i 14 kwietnia 1947 rozpoczęły tzw. „bitwę o handel", której konsekwencjami było zlikwidowanie prywatnych przedsiębiorstw oraz w dalszej kolejności zupełny brak towarów w sklepach. Minc twierdził, że państwo powinno kontrolować handel i radykalnie ograniczyć działalność prywatną, czyli odejść od „niebezpieczeństw kapitalizmu". Szybko słowa przemienił w czyny – już 2 czerwca tego samego roku podpisano ustawy w sprawie zwalczania drożyzny. Odtąd każdy właściciel sklepu zawyżający ceny mógł się spodziewać 5 lat więzienia i wysokich grzywien, a także wizyty Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, która konfiskowała towary lub na przykład „fundowała wczasy w obozie pracy". Ponadto wprowadzono tzw. domiary, czyli podatki naliczane po ujawnieniu dochodów wyższych niż wykazane w zeznaniach podatkowych. To wszystko w szybkim czasie doprowadziło do likwidacji prywatnej przedsiębiorczości. Cały handel przeszedł w ręce państwa, znikła konkurencja co oznaczało, że państwo mogło narzucać społeczeństwu ostre warunki.

I od tej pory nie było niczego (przynajmniej dla większości która nie mogła wchodzić za żółte firanki). Klasyczna logika nie ma tu zastosowania. A te dzisiejsze bitwy o handel (przedstawione w źródłach poniżej)? Nędzna imitacja. Proletariackiej, słusznej klasowo i dziejowo koniecznej, uzasadnionej społeczną sprawiedliwością logiki Minca nie da się podrobić.

*Źródła:*

http://www.kartkazpodrozy.eu/?p=2679
http://www.bbwp.pl/artykul/hipermarkety-przegrywaja-bitwe-o-handel/

***Iwona 'Lithium' Przeklasa***

# Wojna o Falklandy-Malwiny

13 kwietnia 1982 - konflikt o Wyspy Falklandzkie między Argentyną a Wielką Brytanią.

Jak podają źródła, tego dnia nie wydarzyło się nic konkretnego w tej z jednej strony bezsensownej, a z drugiej - mimo upływu lat - fascynującej (pod kątem zagadnień wojskowości) wojny. Można by więc zakończyć tę pogadankę na powyższym stwierdzeniu, ale tak nie będzie.

Bowiem, choć 13 kwietnia nic się nie wydarzyło, to w życie wchodziły skutki zdarzeń z dni poprzednich. Na znajdującej się pośrodku Oceanu Atlantyckiego, należącej do Wielkiej Brytanii Wyspie Wniebowstąpienia trwały przygotowania do odbicia wysp: Południowej Georgii oraz Sandwicha Południowego, leżących 1600 kilometrów od archipelagu falklandzkiego. Były to, dodajmy, skalne, znajdujące się blisko południowego koła podbiegunowego, zwyczajne wyspy bez cennych złóż. Złota, ropy naftowej (choć z nią to do końca nic nie może być pewne) tam nie było. Jednak, jak 3 kwietnia 1982 roku strona argentyńska zajęła to niegościnne miejsce (dzień wcześniej dokonując inwazji na Falklandy), trzepiąc sobie tym sporą michę lansu, tak teraz Brytyjczycy skutecznie i precyzyjnie przygotowywali się do odzyskania swoich terytoriów zamorskich.

Wspominana wcześniej Wyspa Wniebowstąpienia stała się kluczowym miejscem do koncentracji oraz przegrupowania sprzętu lotniczego, który w dalszej fazie operacji miał stanowić wsparcie dla zespołu uderzeniowego floty brytyjskiej, zbliżającej się do Falklandów. Znajdujące się tam lotnisko wojskowe należało do Stanów Zjednoczonych, a te - co dało się przewidzieć - wyraziły zgodę (po cichu od początku wspierając) na jego używanie przez Brytyjczyków. Przebazowano tam m.in. bombowce strategiczne "Vulcan" oraz tankowce "Victor", które miały posłużyć do mało skutecznej pod kątem militarnym, ale mającej duże znaczenie psychologiczne operacji "Czarny kozioł". Konwencjonalne bombardowanie pozycji argentyńskich na Falklandach przez - znane z filmu "Thunderball" o przygodach Jamesa Bonda - "Vulcany", zostało osiągnięte kosztem wielokrotnego tankowania w powietrzu (w tym samych tankowców między sobą), przy trasie o długości 6300 kilometrów w jedną stronę. Przystosowane do przenoszenia broni jądrowej, przestarzałe już w latach 80-ch bombowce, nie okazały się uniwersalnymi końmi roboczymi brytyjskiego lotnictwa jak B-52 dla Amerykanów. Jednak mimo to ich użycie dało do zrozumienia Argentyńczykom, że lotnictwo wojskowe Wielkiej Brytanii - RAF - ma możliwość atakowania celów na kontynencie i - parafrazując klasyka - nie zawaha się jej użyć.

7 kwietnia Wielka Brytania ogłosiła, że 12 kwietnia w obszarze 200 mil morskich wokół Wysp Falklandzkich zostanie utworzona Morska Strefa Zamknięta. Oczywiście, ogłosić można wiele rzeczy, np. to, że wszystkim będzie żyło się lepiej i na tym można by poprzestać, jeśli nie będą stały za tym

konkretne argumenty czy środki. Ale Brytyjczycy takie coś mieli: niezależne, samorządne (pod kątem napędu) atomowe uderzeniowe okręty podwodne, dzięki którym mogli atakować okręty argentyńskie znajdujące się w tejże strefie. I tym, kolejnym atomowym akcentem - zbieżnym zresztą z profilem Trzynastego Schronu - można by zakończyć gawędę o tym, co się wydarzyło, a właściwie nie wydarzyło 13 kwietnia w konflikcie falklandzkim. Warto jednak przy tej okazji poruszyć kilka innych aspektów, związanych z ową wojną.

W tym roku mija bowiem 30 lat od wybuchu, a mimo to nadal jej zarzewie, czyli prawa własności do Falklandów-Malwinów rozpalają serca oraz umysły - powiedzmy to sobie szczerze - motłochu, podburzanego przez polityków. Sami dobrze to znamy z naszego podwórka, kiedy na co dzień fani jednej opcji politycznej są karmieni bajkami o układach o spiskach, a drudzy o zielonych krainach dobrobytu. Czemu więc się dziwić, że skaliste wyspy na końcu świata rozgrzewają umysły Argentyńczyków oraz Brytyjczyków do czerwoności?

Kolejna rzecz to możliwość istnienia dużych złóż ropy naftowej w pobliżu archipelagu falklandzkiego. Ropa jest, czy jej nie ma, a może inaczej - czy jest ona możliwa do wydobycia za pomocą dzisiejszej technologii, przy optymalnych kosztach? Dzisiaj może i nie, ale jutro? To już wiemy, dlaczego Wielka Brytania nie chce za psią skórkę oddać Argentyńczykom ich rzekomej własności.

I sprawa trzecia, o znaczeniu wojskowo-techniczno-politycznym. Początek lat 80-tych był, jak dobrze pamiętamy, czasem wzrastania temperatury cały czas trwającej Zimnej Wojny. Polem bitwy miała być oczywiście Europa, a siły wojskowe państw NATO oraz Układu Warszawskiego były przygotowane do totalnej napieprzanki. Także z użyciem broni atomowej, choć może nie od razu strategicznej, ale o mniejszej mocy działania. Cały więc wysiłek militarny Wielkiej Brytanii, przechodzącej przez kłopoty gospodarcze odkręcane przez rząd Margaret Thatcher, skierowano na wypełnianie zobowiązań sojuszniczych wobec NATO oraz utrzymywanie dużego kontynentu wojskowego w Niemczech. A mimo to Brytyjczycy, dzięki sprawnej organizacji, szybko przygotowali morski zespół uderzeniowy, który przy wsparciu lotnictwa (przede wszystkim bazującego na lotniskowcach) dostarczył na falklandzkie wyspy wojska desantowe. A po 72 dniach od zdobycia ich przez Argentyńczyków, nad stolicą archipelagu - miejscowości Port Stanley - znów powiewał Union Jack.

Dziś sytuacja jakby się powtarza. Wielka Brytania (jak i większość państw europejskich) przechodzi przez kryzys, nie tyle gospodarczy, co finansów publicznych, które są ratowane przez cięcia wydatków, także tych na armię. Wycofywane są kolejne okręty Royal Navy (w tym lotniskowce!), Wielka Brytania nie ma już nawet uderzeniowego lotnictwa morskiego, opartego na doskonałych myśliwcach "Harrier", które również zostały skreślone ze służby. Ponad 30 lat temu Brytyjczycy zrezygnowali z posiadania klasycznych lotniskowców, przez co pozbawili się możliwości użycia pokładowych samolotów rozpoznawczych, co odbiło się faktycznym brakiem dostępności do wiedzy, jaką takie maszyny mogły dostarczyć. I???

No właśnie... Czy dzisiaj, kiedy polityczne pohukiwania obu stron dawnego konfliktu co jakiś czas się odzywają, kiedy na naszych oczach kończy się epoka jednostronnej dominacji świata zachodniego (do którego i my się w końcu załapaliśmy, a tu informują nas, że skończyło się Eldorado), kiedy na globalnej scenie pojawiają się nowi, silni aktorzy, jak Chiny czy Brazylia, ta wojna na "końcu świata" może nasz czegoś nauczyć?

Owszem, ale to już temat na inną okazję.

*Warto się zapoznać:*


1. Krzysztof Kubiak: Falklandy - Port Stanley 1982. Dom Wydawniczy Bellona. Warszawa 2007.
2. Krzysztof Kubiak: Falklandy. Altair. Warszawa 1993.
3. Squonk: B-52 (http://trzynasty-schron.net/ie_militaria_b52.html). Trzynasty Schron. 2008.


***Marek 'Squonk' Rauchfleisch***